



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

DK  
418  
.95  
D&F

UC-NRLF



QB 532 356

GIFT OF  
Professor G.R.Noyes



EX LIBRIS

Gaylamou Baudouin de Courtenay, J. I. N. 95  
DK418  
D8B38

*Archiw.  
t. 9*

Z POWODU JUBILEUSZU

PROFESORA

# DUCHIŃSKIEGO

PRZEZ

JANA BAUDOUIN'A DE COURTENAY.

KRAKÓW.

NAKŁADEM AUTORA.

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

pod zarządkiem Anatola Maryana Kosterkiewicza.

1886.

GIFT

LIBRARY OF  
CALIFORNIA

Z POWODU JUBILEUSZU

PROFESORA

**DUCHIŃSKIEGO**

PRZEZ

Jana BAUDOUIN'A de COURTENAY.



KRAKÓW.

DRUKARNIA UNIwersYTETU JagIELLOŃSKIEGO  
pod zarządem Anatola Maryana Kosterkiewicza.

1886.

GIFT

UNIV. OF  
CALIFORNIA

Z POWODU JUBILEUSZU

PROFESORA

**DUCHIŃSKIEGO**

PRZEZ

Jana BAUDOUIN'A de COURTENAY.



KRAKÓW.

DRUKARNIA UNIwersYTETU JagIELLOŃSKIEGO  
pod zarządcm Anatola Maryana Kosterkiewiczza.

1886.



DRAFT

TO VMD .95  
ANSONIA 1.21.8

*By: Eugene S. R. Tracy*

UNIV. OF  
CALIFORNIA

Uwagi moje z powodu jubileuszu prof. Duchin-  
skiego były napisane pierwotnie na wyraźną prośbę  
redaktora „Kraju“ i naturalnie przeznaczone dla tego  
czasopisma. Jak się później okazało, mogły one zostać  
tam wydrukowane, ze względów miejscowych, tylko  
ze znacznymi i psującymi ogólne wrażenie skróce-  
niami i zmianami. Nie mając zwyczaju wchodzić  
w kompromisa podobnego rodzaju, wolałem odstąpić  
od pierwotnego zamiaru. Żał mi jednak było wrzucić  
do kosza rękopism, będący owocem pewnego namysłu  
i wyrazem moich przekonań, które może znajdą od-  
dźwięk w umysłach i sumieniach, podobnie jak moje  
uorganizowanych.

W czasach, kiedy zbrodnie osobiste i zbiorowe,  
przy akopanjamencie niesłychanego bezwstydu, daleko  
buńczuczniej niż zwykle rozpierają się na podścielisku  
z głupoty i nieczemności ludzkiej, nawet najcierpliw-  
szy i najspokojniejszy człowiek, w którym tleje  
jeszcze choćby iskierka uczucia sprawiedliwości i mo-  
ralności, czuje w sobie taki nadmiar złości, że mimo-  
wolnie rodzi się w nim pragnienie ulania na zewnątrz  
tego słodkiego płynu.

70 .viii  
A. DUCHIŃSKI

Sam prof. Duchński i jego jubileusz byli dla mnie jedynie punktem wyjścia, dając mi sposobność wypowiedzenia bez ogródki kilku zdań o niektórych małych i wielkich znikomościach świata tego.

DORPAT, (10) 22 Lutego 1886 r.



Usprawiedliwienie się z wystąpienia w tej sprawie. — Jubileusz familijno-przyjacielski i jubileusz społeczno-narodowy. — Zasługi uczonego i polityka. — Twierdzenia prof. Duchńskiego. — Dowody tych twierdzeń. — Sposób dowodzenia. — Zupełny brak pewnych niezbędnych pojęć ogólnych. — Wrodzona aryjskość i wrodzony turanizm. — Miłość wszecharyjska. — Dwie moralności. — O ile wpływ „teorii“ p. Duchńskiego był pożytecznym lub też szkodliwym. — Wpływ na umysłowość. — Wpływ moralny. — Wpływ na przekonania polityczne i na postępowanie pewnej części narodu. — Skutki porywania się z motyką na słońce. — Usprawiedliwienie p. Duchńskiego. — Wniosek ostateczny o znaczeniu jubileuszu.

Z wielką obawą spełniam prośbę redaktora „Kraju“ o zabranie głosu w sprawie jubileuszu profesora Duchńskiego. Obawa moja jest bardzo zrozumiała. Każdy bowiem czytelnik może zapytać, dla czego się biorę nie do swoich rzeczy. Ani to moja specjalność, ani też nie zostałem wybrany przez nikogo do przemawiania w jego imieniu. Drugą część zarzutu mogę odeprzeć uwagą, że nie koniecznie trzeba być wybranym, ażeby przemawiać w czyjś imieniu. Co się zaś mnie tyczy, to nie mam zupełnie pretensji do odzywiania się czy to „w imieniu narodu“, czy też w imieniu choćby nawet najmniejszej garstki ludzi, ale tylko występuję od siebie samego, wypowiadając jedynie swoje własne, osobiste przekonania. Czy kto je podziela, czy też nie, jest dla mnie najzupełniej obojętnem. Co się zaś tyczy mojej niekompetencji, to rzeczywiście tego rodzaju kwestjami etnograficznymi specjalnie się nie zajmowałem. Pomimo to, jako lingwista, miałem z niemi

niejednokrotnie do czynienia i nie uważam się w ich zakresie za zupełnego profana. Że zaś nie mam wcale zamiaru pisać gruntownej i wyczerpującej rozprawy o pracach naukowych p. Duchyńskiego, ale tylko ograniczam się oceną ich ze stanowiska zwykłej logiki i zdrowego rozsądku, więc też odpowiedzialność moja wobec wymagań ścisłej umiejętności niepoślednio maleje. Gruntowny i wyczerpujący artykuł o p. Duchyńskim jest dla mnie choćby z tego powodu niemożliwy, że tu w Dorpacie nie mogę nigdzie znaleźć dzieł samego p. D., zmuszonym będąc ograniczać się po części wyciągami, zawartymi w pracach innych autorów, po części zaś własnymi wspomnieniami z dawniejszego czytania rozmaitych wywodów samego p. D-go o aryzykach i turańczykach, o rolnikach i nomadach itp. Zresztą „teorje“ p. D. są tak popularne, że dla uprzytomnienia ich sobie nie potrzeba się zbyt głęboko wczytywać w księgi, w których je wypowiedziano i uzasadniono.



Kilka tygodni temu obchodzono jubileusz pięćdziesięcioletniej działalności literackiej prof. Duchyńskiego. Otóż przede wszystkim następujące pytanie wymaga odpowiedzi: Czy był to poprostu jubileusz familijny, jubileusz prywatny, urządzony przez grono osobistych przyjaciół i czcicieli szanownego jubileata, nie przywłaszczających sobie roli przedstawicieli narodu, czy też nadawano całej uroczystości charakter społeczny, charakter ogólnie narodowy, czeząc w ten sposób rzekome zasługi publiczne prof. Duchyńskiego? W pierwszym razie nikt niema prawa protestować; boć chyba każdemu wolno wyrażać w ten lub inny sposób swoje własne uznanie dla czczonych przez niego osobistości. Dla czegoż nie uczcić człowieka, który w życiu prywatnem, o ile wiemy, niczem się nie skalął, żył uczciwie, który był jakiś czas bardzo głośnym i w ten sposób przyczynił się do uświetnienia noszonego przezeń nazwiska i rodziny, której jest najwybitniejszym członkiem? Jeżeli jednak przypuścim, że jubileusz

został wyprawiony „w imieniu narodu“, w takim razie musim się przede wszystkim zapytać: jakie prawo może mieć p. Duchński do wdzięczności narodowej? jakie też oddał usługi swojemu społeczeństwu?

Działalność publiczna p. Duchńskiego przedstawia dwie strony: naukowo-literacką i ściśle z nią związaną publicystyczno-polityczną. Wszystkie prace etnograficzne naszego uczonego noszą na sobie przede wszystkim **charakter polityczny**. Tak więc, oceniając p. Duchńskiego jako człowieka publicznego, musimy odpowiedzieć na pytania: 1) Jaki teżżytek przyniósł on swojemu narodowi jako uczonego? 2) Jakie też korzyści sprowadziła na naród działalność polityczna etnografa tendencyjnego? Postaramy się naprzód odpowiedzieć na pierwsze z tych pytań.

Już sam charakter polityczny pism p. D-go robi ich ścisłą naukowość dosyć podejrzaną. Niepodobna służyć jednocześnie i z jednakową gorliwością dwóm paniom tego rodzaju, jak prawda i polityka. Albo jedna, albo druga musi być zaniebdywaną. Uczony dążyć powinien tylko do prawdy, bez względu na to, czy wyniki tego dążenia będą przyjemne, czy też nieprzyjemne. Mąż zaś publiczny, bawiący się w politykę, ma inne zupełnie cele, a chcąc przeprowadzić pomyslnie swoją sprawę przez wszystkie instancje „opinji publicznej“ i sądów „międzynarodowych“, w środkach zwykle nie przebiera i prawdą się nie krępuje. Nasz etnograf także poświęcał tendencyjnie prawdę polityce, jak to się zaraz pokaże ze szczegółowego omówienia jego twierdzeń, jego dowodów, mających popierać owe twierdzenia, jego metody i nareszcie jego ogólnych pojęć naukowych.

**Głównem twierdzeniem** p. Duchńskiego, osiłą, około której kręciło się całe jego myślenie naukowe, była teza, że Wielkorosjanie czyli tak zwani przezeń „Moskale“ nie mogą być wcale zaliczeni ani do Słowian, ani nawet do „Arjów“ („Aryjczyków“) wogóle, ale że należą oni do tak zwanego szczepu „turańskiego“, na równi z innemi plemio-

nami mongolskimi, tatarskimi, fińskimi itd. „Moskwa“ (według terminologii etnograficznej p. D.: cały zbiór krain, zamieszkałych w państwie Rosyjskiem przez Wielkorosów i ich turańskich współplemieńców) różni się od reszty Słowian i od całej Europy aryjskiej, jak niebo od ziemi. Są to dwa światy zasadniczo różne, nie mające z sobą nic wspólnego oprócz chyba wrodzonego i nigdy usunąć się nie dającego antagonizmu. Granicami geograficznymi tych światów są to Dniepr i Dźwina, to Dniepr i „rzeczki Finlandji“. Zresztą o drobiazgi mniejsza. Bądźmy zupełnie szczerzy i powiedzmy, że granicę świata turańskiego i aryjskiego określa po prostu granica wschodnia Rzeczypospolitej Polskiej z przed r. 1772. Należy tylko odbudować dawną Polskę, a wnet znajdzie się na karcie i na kuli ziemskiej widoczny przedział dwóch wrogich światów, a Europa zachodnia zyska doskonale przedmurze przed grożącą jej bezustannie hydrą turańską. Aby jednak nie krzywdzić reszty Europejczyków, którym losy kazały osiedlić się na północo-wschód od granic Polski przedrozbiorowej, i ażeby zyskać dla swej idei politycznej jak najwięcej zwolenników i sprzymierzeńców, p. D. zalicza także do Europy zachodniej półwysep Skandynawski, Finlandję i wszystkie prowincje Nadbałtyckie. Toć w ten sposób jeszcze radykalniej odpycha się ku wschodowi Moskali-Mongołów, a odebrawszy im morze Bałtyckie, osłabia się ich znakomicie. Rzecz bardzo prosta, że Finnowie i Estońcy należą wtedy do świata aryjskiego zachodnio-europejskiego, a nietylko Małorusi, ale i Białorusi okazują się plemieniem zasadniczo różnem od koczowników „moskiewskich“. Naturalnie za Małorusów i Białorusów należy uważać tylko tych Rusinów, którzy zaludniają wschodnie obszary dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Co mieszka za Dnieprem, to wszystko nosi na sobie niezatarte piętno turanizmu.

P. Duchński broni się przeciwko posądzeniu, jakoby Turańczyków uważał za barbarzyńców. Boże uchowaj! Są oni także zdolni do cywilizacji i kultury, ale do cywilizacji i kultury *sui generis*, nie mającej nic wspólnego z sympatyczną dla prawnego aryjczyka kulturą i cywilizacją zachodnio-europej-

ską. Jednem słowem, świat aryjski i turański, Europa zachodnia i Europa wschodnia wraz z całą Azją, Słowianie i „Moskale“ — to dwie ilości niewspółmierne, nie dające się nigdy z sobą połączyć i skazane na wieczną, nigdy nie ustającą walkę.

Myśl ta nie przedstawia nic nowego. Nie pierwszy prof. Duchński ją wypowiedział, chociaż pierwszy może starał się ją sformułować naukowo i wyszukać dla niej dowodów, mogących przekonać ludzi, niezbyt krytycznie myślących. Powstawała ona jednak nieraz w głowach, albo odznaczających się nieznanomością rzeczy i naiwnością, albo też zatrutych nienawiścią, albo też i jedno i drugie razem. Choćby jednak zaszczyt podobnego wynalazku trzeba było przyznać p. Duchńskiemu, to i tak nie miałby się czem chlępić. Nie jestto bowiem wcale odkrycie naukowe, nie jestto także udatny paradoks, ale tylko po prostu zdanie, podyktowane przez nienawiść plemienną i zarozumiałość narodową.

Jakież **dowody** przytacza p. Duchński na poparcie swojego zdania? Oto cechami, piętnującymi turanizm „moskiewski“ w różnicy od szlachejnych Aryjczyków-Słowian, są między innymi: osobna wrodzona turanizmowi forma rządu, komunizm, koczowniczość, uderzająco mała liczba miast, język itd. Przypatrzmy się bliżej każdemu z tych mniemanych dowodów.

Tak tedy stałą nieuniknioną cechą „turanizmu“ ma być osobna **forma rządu** autokratycznego (samowładnego), zwana przez p. D-go „caratem“. Nie wiem, czy p. D. zdolny jest przytoczyć jakiegokolwiek właściwości „caratu“, które nie spotykałyby się także w państwach zachodnio-europejskich w pewnej fazie ich rozwoju politycznego. Formy rządów w Europie zachodniej były i są bardzo rozmaite, a do liczby ich należy także forma, przypisywana przez p. D-go wyłącznie turanizmowi. Co więcej, jeżeli można wierzyć bezstronnym badaniom historycznym, swoją formę rządu „turanizm“ wschodnio-europejski p. Duchńskiego odziedziczył po tak arcy-aryjskiem państwie, jakim było cesarstwo Bizantyńskie. Gdyby zresztą



p. D. chciał się zastanowić nad historją Europy zachodniej, znalazłby tam we Francji np. Burbonów przedrewolucyjnych (Ludwik XIV itd.), w Rzymie długi szereg cesarów, zresztą prawie wszędzie przez pewien czas coś bardzo podobnego do tego, co się wydaje naszemu historjografowi tak specyficznie turańskiem. Powinien by także wiedzieć p. D., że wyraz słowiański (południowo-słowiański i ruski) *car* rozwinął się przez skrócenie z *cesár* (cesarz), które znowu nie jest niczem innym, jak późniejszą modyfikacją *Cezara* (Caesar), w niemieckiej przeróbce *Kaisar*, *Kaiser*. Ani *chanów*, ani *szachów* u Turańczyków Europy wschodniej wcale nie spotykamy. Kto wie zresztą, czy nawet zwykli czysto azjatyccy chanowie przewyższają co do despotyzmu takiego np. czystego „aryjczyka“, jak Napoleon I., albo też bohatera, do którego modlił się ciągle p. D., Napoleona III. Z drugiej strony należałoby zwrócić uwagę na Japonję, na różnorodne formy rządów u czysto „turańskich“ ludów azjatyckich itd., a z pewnością nie możnaby ich było pakować do jednego worka ze wschodnio-europejskim „caratem“, w przeciwstawieniu do wszystkich razem wziętych form zachodnio-europejskich, charakteryzujących państwa „aryjskie“. — Jak inne objawy życia społecznego, tak i formy rządu ulegają stopniowym zmianom. Każda forma rządu możliwą jest w pewnym czasie przy pewnym stanie społeczeństwa u każdego narodu. Pewnej jej odcienie zawisłe są od warunków geograficznych, ekonomicznych itp., jako też od przeszłości narodu. Pochodzenie zaś plemienne najmniejszą tu chyba odgrywa rolę. Węgrzy w Azji, a Persowie w Europie posiadali by zapewne całkiem inną formę rządu, aniżeli ta, do której obecnie doszli. Z aryjskością i turańskością forma rządu w każdym razie nie ma nic do czynienia. — Przy tem wszystkiem należy zwrócić uwagę na tę okoliczność, że *gadalnie* (parlamenty) nie są tak dalece wynalazkiem wyłącznie zachodnio-europejskim lub też „aryjskim“, i że nie od nich jedynie zależy zbawienie ludzkości. Jakie imponujące znaczenie miewają czasami gadalnie aryjskie, najlepiej to widać na dzisiejszym „Landtagu“ pruskim i na „Reichstagu“ niemieckim. Dobroczyne zaś skutki wiele

patryjotycznej działalności sławetnych sejmów ś. p. Rzeczypospolitej polskiej odczuwany chyba dostatecznie na własnej skórze.

Drugą cechą turańską, właściwą także „Moskwie“ p. Duchinińskiego, ma być **komunizm**, gdy tymczasem Aryjczyków cechuje własność osobista. Gdyby nie poważny ton dzieł p. D-go, możnaby tu sądzić, że uczony nasz żartuje. Czy p. D. badał rzeczywiście pod tym względem całe społeczeństwo rosyjskie we wszystkich jego warstwach? Bo zwykli śmiertelnicy, którzy przyglądali się choćby tylko powierzchownie ludowi rosyjskiemu (wielkoruskiemu), znajdują coś w rodzaju „komunizmu“ jedynie tylko u ludu wiejskiego w tak zwanem wspólnem władaniu (общинное владѣніе) ziemią. Oprócz jednak biednych chłopów żadna klasa ludności wielkoruskiej nie wykazuje najmniejszego pociągu do komunistycznego ustroju społecznego. Czy może kupcy wielkorusey są komunistami? czy może duchowieństwo, szlachta? Czy czasem nie pijawki, zwane „kulakami“ (кулаки), albo też właściciele jawnych zakładów lichwiarskich (гласныя кассы ссуды) uprawiają ów komunizm p. Duchinińskiego? Trzebaby istotnie posiadać zbyt twórczą wyobraźnię, ażeby utrzymać coś podobnego. I czy to nie zadziwiające, że w okolicach, gdzie lud wiejski wielkoruski mieszka tuż obok z innymi „turańczykami“ w rodzaju Tatarów, Czuwaszów, Czeremisów itd., właśnie ci ostatni mają własność indywidualną, gdy tymczasem „komunizm“ cechuje urzędnia agrarne „Turańczyków“, mówiących po słowiańsku. Gdyby nie zaślepienie i zaciekłość, p. D. spostrzegłby, że ów komunizm agrarny Wielkorusów jest właśnie zabytkiem czysto słowiańskim, że coś podobnego, choć w innych rozmiarach, spotykamy jeszcze u Serbów, Bulgarów itd., że nawet czysto „aryjski“ lud polski uważa dotychczas las i pastwisko za własność komunistyczną itd. Takie same poglądy i takie same urzędnia właściwe były dawniej wszystkim bez wyjątku ludom. Mamy np. pewne niezbite dane o „komunizmie“ w Indjach wschodnich, u starożytnych Germanów, u plemion kaukaskich itd. Warunki życia zmieniły się; zmieniała

się także forma własności i wogóle ustroju społecznego. „Komunizm“ więc ów nie jest wcale cechą wyłącznie „turańską“, ale jest po prostu pewnym stopniem rozwoju społecznego, przez który każdy lud przechodzi. — Szkoda także, że p. D. zapomniał przy tej sposobności o teoriach i dążnościach komunistycznych u czystej krwi „Aryjczyków“ Europy zachodniej. Ale może tylko ci są Aryjczykami, co, broniąc własności, obracają kapitałami i eksploatują dwunożne bydło robocze; reszta zaś to parjasy chamskiego pochodzenia.

Następnie powiada p. Duchiński, że Turańczycy — to **nomady**, koczownicy, ludy pasterskie, gdy tymczasem Aryjczycy — to rolnicy, ludy osiadłe. W oczach p. D-go Wielkorosjanie czyli „Moskale“ są także chronicznymi koczownikami, a więc — Turańczykami. Łatwość przenoszenia się Wielkorusa z miejsca na miejsce dochodzi do najwyższego stopnia. Zastanówmy się, czy p. D. ma słuszość. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że „wyższe klasy“ każdego narodu przenoszą się z miejsca na miejsce z nadzwyczajną łatwością, zwłaszcza teraz, po wynalezieniu kolei żelaznych. Ale tu prym trzymają chyba najczystszej krwi Aryjczycy — Angliacy, gdy tymczasem Turańczycy „Moskale“ znacznie im ustępują. Jakież to zastępy z bogatszych ludzi wszelkich narodów wędrują rokrocznie choćby do jednego Paryża, dokąd i później ciągnie serce niejednego potentata. — Co się zaś tyczy biednych ludzi, czy to osiadłych, czy też nieosiadłych, to ci porzucają kąć rodzinny zwykle tylko z potrzeby albo nawet z nędzy. Tak np. wędrowni ludźmi, jeżeli istotnie były to przynosiny ludowe, bywały przedsiębrane nie dla przyjemności, ale dla wynalezienia lepszych pastwisk lub też lepszej, urodzajniejszej ziemi wogóle. Podobnie w ostatnich czasach emigracje Niemców, włościan galicyjskich itd. do Ameryki dowodzą tylko, że biedacy nie mają w domu co jeść i że w pogoni za kawałkiem chleba nie cofają się nawet przed tak daleką podróżą w nieznanne kraje. A jakim to wymownym faktem jest tegoroczny prąd włościan niektórych

okolice gubernji Radomskiej do przesiedlenia się do Syberji, nad Amur itd., prąd, który tylko z wielką trudnością udało się zażegnać miejscowym władzom „turańskim“. Czyż na zasadzie tych nieustannych emigracji zaliczy p. D. Niemców, Galiejjan i włościan radomskich do koczowniczych ludów turańskich? Chyba że nie. Ale może odpowie p. D. i jego zwolennicy, że podobne przenosiny z musu a ciągle koczowanie turańczyków z przyzwyczajenia i dla przyjemności — to dwie rzeczy zupełnie różne. Być bardzo może, ale w takim razie p. D. nie zna wcale ludu wielkoruskiego i nie przyjrzał się warunkom jego bytu. Owa koczowniczość zwyczajowa spotyka się wprawdzie u Kirgizów, Baszkirów, Altajczyków i innych ludów szczepu tureckiego w Syberji. Ale już Tatarzy, Czuwasze, Czeremisi, oraz inni Turcy („Turcy“ w znaczeniu ogólnem) i Finnowie, mieszkający w pobliżu Wołgi i Kamy, nie myślą wcale o koczownictwie i oddają się albo uprawie ziemi albo też innym zajęciom, charakteryzującym ludy „osiadłe“. To samo zupełnie stosuje się do Wielkorusów. O Wielkorusach nomadach nieśmy dotychczas nie słyszeli. Że dla zarobku opuszczają oni tłumnie domową zagrodę, oddalając się od niej nieraz o kilka set wiorst, to nie dziwne. Opuszczają, bo muszą; opuszczają z nędzy. To samo czynił i czyni każdy lud wszędzie i zawsze. Jednakże ryczałtowe wysiedlanie się (emigracja) Wielkorusów np. do Ameryki dotychczas się nie rozpoczęło, a to dla tej prostej przyczyny, że do właściwego przeludnienia w Rosji, całkowicie wziętej, dotychczas nie doszło i długo jeszcze nie dojdzie, sama zaś Rosja (europejska i azjatycka) posiada dosyć przestrzeni dla wyżywienia jeszcze daleko znaczniejszej ilości ludzi.

Dawniej, a właściwie nie tak dawno lud wielkoruski na równi z małoruskim i w ogóle z każdym ludem, oddanym panom w niewolę, ulegał przymusowemu koczownictwu. Boć panu, mającemu majątki np. w gubernji Wołyńskiej i Saratowskiej, mogło się podobać przesiedlać całe wsie z jednej gubernji do drugiej, bądź to dla zaludnienia niezbyt ludnych obszarów w jednym majątku, bądź też po prostu

z kaprysu. Nikt też nie mógł przeszkodzić panu sprzedawać ryczałtowo należące do niego dusze całemi dziesiątkami lub setkami na osiedlenie ich choćby nawet w drugim końcu państwa. Podobnemi szlachetnemi operacjami zajmowali się nietylko panowie „Turańczycy“, ale z pewnością równie często najczystszej krwi „Aryjczycy“, nietylko „Moskale“, ale także najzdeklarowańsi Słowianie, tak jedni jak drudzy — wyznawcy religii Chrystusowej i gorliwi jej krzewiciele. Takie to były czasy, i nikt nie obwinia ani „Turańczyków“, ani też „Aryjczyków“, postępujących w ten sposób ze swem dwunogiem bydłem roboczem. Prócz tego podobnemu mimowolnemu koczownictwu ulegały całe wsie z innych, czasowych powodów, i to może jeszcze nie tyle wsie „turańskie“, ile wsie polskie, litewskie itp. Tak jedno, jak drugie, tak przesiedlenie z woli właściciela majątku, jako też z woli innych potęg, wygląda na koczownictwo, ale pomiędzy podobnem koczownictwem a koczownictwem dobrowolnem taka sama zachodzi różnica, jak pomiędzy masażem i gimnastyką bierną a gimnastyką czynną. Rezultat otrzymujemy mniej więcej ten sam, ale odpowiedzialność przed panem Duchieńskim spada na kogo innego.

Czy też p. D. był kiedykolwiek obecnym przy podobnych objawach koczownictwa, mającego charakteryzować „turanizm“, „moskiewski“ w różnicy od „aryzmu“ słowiańskiego? Chyba że nie był; i dla tego też nie może powiedzieć, czy owi jego „Turańczycy“ nie przelewali przy tem gorzkich łez rozpaczy, czy nie wydawali jęków, zdolnych wstrząsnąć każde serce ludzkie z wyjątkiem serc zatwardziałych plantatorów i okrutnych a bezmyślnych oprawców. Tak „Turańczyk“, jak „Aryjczyk“, rzucony zdala od rodzinnej zagrody, tęskni za nią w ciągu całego życia. Osobniki nie tęskniące wszędzie są dość rzadkie; są to albo silne umysły, żądne coraz nowych wrażeń, albo też awanturnicy, pozbawieni w ogóle zdolności przywiązywania się do tego, co ich otacza. Sam widziałem Tatarów, Czuwaszów i Czeremisów, wzruszonych do łez przy zbliżeniu się do miejsc, w których się wychowali.

A przecież Tatarzy, Czuwasze i Czeremisy toć to „Turań-  
czycy“ najczystszej wody.

Być bardzo może, że Wielkorusi wydają większy pro-  
cent indywiduów, puszcających się dobrowolnie na życie  
koczownicze, aniżeli inne plemiona sąsiednie, zwłaszcza ple-  
miona, mieszkające ku zachodowi od Wielkorusów. Ale bo  
też w ogóle Wielkorusi, razem wzięci, żyją w innych wa-  
runkach, aniżeli owe plemiona zachodnie.

Przedewszystkiem u tych plemion zachodnich, u Pola-  
ków, Małorusów, Litwinów itd., spotykamy tylko czysto indy-  
widualne władanie rolą, gdy tymczasem u większości Wiel-  
korusów rolników ma miejsce własność wspólna, zbiorowa.  
Włościanie też polscy, małorusy, litewscy itd. mają przecię-  
tnie więcej ziemi, aniżeli włościanie wielu bardzo okolic  
wielkoruskich, czy to posiadający już własność indywidualną,  
czy też dotychczas tylko zbiorową. Prócz tego ziemia na  
zachodzie jest daleko lepiej zagospodarowaną i przynosi nie-  
równie więcej dochodu. Włościanin polski lub litewski stoi,  
jako rolnik, nierównie wyżej od włościanina wielkoruskiego  
z nad Wołgi lub Donu. Jestto bardzo zrozumiała różnica  
w stopniu kultury i udoskonalenia specjalnego.

Inne plemiona, ku zachodowi mieszkające, przedsta-  
wiają na tej samej przestrzeni daleko więcej ludności; a gęst-  
sze zaludnienie, byle tylko nie przeludnienie, jest jednym  
z czynników, przywiązujących człowieka do miejsca. Na wpół  
puste przestrzenie, ciągnące się bez granic, nie mają w so-  
bie tyle powabu indywidualnego, co kraje, ożywione gęsto  
posianemi siedzibami ludzkimi.

Dużo też może do zubożenia Wielkorusa pod wzglę-  
dem wyłącznego przywiązania do jakiejś miejscowości lub  
pewnego niewielkiego obszaru przyczyniają się szerokie prze-  
stworza z tym samym językiem. Dziś np. Wielkorus może  
się przenieść z okolic Petersburga w okolice Irkucka i wszę-  
dzie znajdzie po drodze znaczne grupy ludności, z którymi  
się może od razu porozumiewać bez żadnej trudności. Czuje  
się więc na tak dużych przestrzeniach daleko bardziej u sie-  
bie, aniżeli plemiona, zaludniające daleko mniejszą przestrzeń,

jak np. Litwini, Łotysze, Estończycy, Finnowie, a nawet Małorusi lub Polacy. Chłop polski znajdzie wprawdzie Polaków poza ściśle etnograficznymi granicami swojego plemienia, ale nie będą to ludzie, stojący z nim na równi: będą to albo panowie, rozsiani między ludnością litewską lub ruską, albo też mieszkańcy miast. Chłop zaś rosyjski znajdzie równego sobie i mówiącego łatwo zrozumiałym językiem na całej przestrzeni od Grodna prawie do Kamezatkan, od Woroneża do Archangielska. — Mieszkający tuż obok Wielkorusów oczywiście „Turańczycy“, jako to Mordwini, Czuwasze, Czeremisi, Tatarzy itd. (nie mówiąc już o Estończykach i Finnach, należących, zdaniem p. D-go, do Europy „aryjskiej“), okazują może nawet więcej miłości kąta rodzinnego i rolniczości, aniżeli sami Wielkorusi, którzy, nawet według „teorii“ p. Duchńskiego, nie przewyższają pod względem turanizmu owych tylko co wymienionych plemion. Zostaje to być może w związku z tym faktem historycznym, że Wielkorusjanie później przybyli do tych krajów, wyparłszy po części inne plemiona z ich pierwotnych siedzib, do których sami nie potrafili się jeszcze dostatecznie przyzwyczaić. W ogóle kolonizatorowie przenoszą się łatwiej z miejsca na miejsce, aniżeli plemiona nieruchome, w mniejszym stopniu uzdolnione do kolonizacji.

Taką samą właśnie „koczowniczość“, jak u Wielkorusów, spotykamy także u Niemców, porzucających całymi masami swoją pierwotną ojczyznę i zaludniających całe obszary w obcych krajach. Cała zaś prawie dzisiejsza Ameryka zaludniona jest przez tego rodzaju „koczowników“ zachodnio-europejskich, a więc „aryjskich“, z plemienia romańskiego i germańskiego.

Mówiąc o „koczowniczości“ Wielkorusjan, trzeba mieć ciągle na uwadze różnice geograficzne tego niezmiernego obszaru etnograficznego. Inny zupełnie stopień „koczowniczości“ spotkamy u Wielkorusów Syberji, inny w okolicach Moskwy, Tuły, Riazania itd. Rzadko chyba kto słyszał o rybakach z gubernii Ołoneckiej, chętnie porzucających swoje zagrody i osiedlających się w innych miejscowościach. A przecież to

najczystszej krwi Wielkorusi czyli „Turańczycy“ p. Duchńskiego.

Być może zresztą, że Wielkorusi mają daleko więcej skłonności koczowniczych, aniżeli inni Słowianie. Ażeby jednak nasz sąd w tym przedmiocie miał jaką taką wartość naukową, należałoby go oprzeć na zupełnie pewnych i ściśle oznaczonych danych statystycznych, i to mianowicie w dwóch kierunkach: w kierunku geograficznym i w kierunku chronologicznym. Dane statystyczne w kierunku geograficznym odpowiedzą na pytanie: które z plemion, jednocześnie żyjących, daje największy procent koczowników? Z danych zaś statystycznych w kierunku chronologicznym możnaby wyciągać wnioski co do zwiększania się lub też zmniejszania się z biegiem czasu „koczowniczości“ pojedynczych plemion. Niestety, nauka nie może się poszczycić obecnie podobnymi danymi statystycznymi. Bez takich zaś danych przypisywanie „Moskałom“ - „Turańczykom“ koczowniczości, a Słowianom-Aryczykom osiadłości jest czezą, niewiele pouczającą gaudaniną.

Na zakończenie tego ustępu o koczowniczości pozwolę sobie zapytać p. D-go i jego zwolenników, do jakiej kategorii zaliczają Cyganów: czy do Aryczyków, czy też do Turańczyków? O ile skądinąd wiadomo, Cyganie, których mowa należy do familji indyjskiej języków arjoeuropejskich (indoeuropejskich), i którzy pod względem antropologicznym należą do szczepu kaukazkiego, powinni być chyba uważani za „Aryczyków“, a więc za plemię osiadłe. Tymczasem są to wieczni, niczem nieuleczalni koczownicy. A jaką też kategorię powinnyby stanowić, według p. D-go, owe masy żydowskie, w żaden sposób nie dające się przywiązać do ziemi, ciągle ruchome i więcej chyba „koczownicze“, aniżeli osiadłe?

Wzmianka o żydach pozwala nam przejść do następnego dowodu, mającego, zdaniem p. D-go, popierać „turańskość“ Wielkorusów. Dowód to istotnie na pozór przekonujący i mogący obalamucić ludzi, głębiej się nie zastanawiających.



Oto w ziemiach, zamieszkałych przez Wielkorusów, uderzająco małą jest **liczba miast** i miasteczek, których takie mnóstwo spotykamy w prowincjach, leżących na zachód od tego plemienia koczowniczego. Podobno nawet „Instytut narodowy francuski (L'Institut National de France) ogłosił“ niegdyś „konkurs i nagrodę medalu złotego za odpowiedź na pytanie: dla czego na 8,484,658 mieszkańców gubernji zachodnich Cesarstwa Rosyjskiego jest 1056 miast i miasteczek, kiedy na 36,107,276 mieszkańców Wielko-Rosji jest tylko 356 takich miejsc centralnych handlu i cywilizacji“.<sup>1)</sup>

Po uważniejszym przyjrzeniu się temu nibyto dowodowi znika on zupełnie, jak bańka mydlana. Czy to zaślepienie i niewiedomość, czy też zła wola, kazały p. D-mu i jego zwolennikom podstawić nazwę zamiast rzeczy i na podstawie tego pomieszania wykrzykiwać tryumfująco o turańskości Wielkorusów. Według terminologii administracyjnej, przyjętej w Rosji wielkoruskiej, miastem (gorod) nazywa się przeważnie tylko stolica gubernji lub powiatu. Miasta zaś, nie będące stolicą powiatu, są nader nieliczne i noszą nazwę miast pozaetatowych (zaszatatnyj gorod). Tymczasem w granicach dawnej Rzeczypospolitej Polskiej jest mnóstwo miast i miasteczek, nie mających żadnego znaczenia administracyjnego i różniących się od wsi tylko większą ilością żydów i pewnemi „przywilejami“ albo raczej ciężarami miejskimi. Tego rodzaju osad posiada także i Rosja Wielkoruska liczbę dosyć znaczną; nie nazywa ich jednak pompatycznie miastami, ale po prostu slobodami lub posadami.<sup>2)</sup> Mają one zawsze cerkiew, są siedliskiem pewnych władz administracyjnych; w nich też odbywają się jarmarki,

<sup>1)</sup> Por. między innymi: Przegląd etnograficzno-historyczny i literacki, poświęcony badaniom Polski i krajów sąsiednich. Kraków. 1875. Nr. 1, 5 marca, szp. 5 i 6.

<sup>2)</sup> Sióło (целó) znaczy: wieś kościelna (cerkiewna) bez jarmarków, sloboda (слобода) — wieś kościelna z jarmarkami, posad (посадъ) — siedlisko „asesora“ czyli naczelnika policji w części powiatu (становой приставъ, da-

itd.: jednym słowem, nie ustępują one wcale polsko-litewsko-zachodnio-ruskim; miasteczkom. Tego ostatniego terminu, miasteczko, jako też nawet terminu miasto Wielkorosja wcale nie zna; gorod bowiem, siedlisko dawnego horodniczego, równa się mniej więcej co do pojęcia polskiemu grodowi, siedlisku starosty. Chociaż więc Rosjanie wyraz polski miasto tłumaczą przez gorod, to jednak na oznaczenie miasteczka wprowadzili do swego języka ten sam wyraz w formie miesteczko (мѣстѣчко). Niejedno zaś nawet sioło (село) wielkoruskie przedstawia się daleko pokażniej, aniżeli owe miasteczka polskie, do których p. D. tak wielkie znaczenie przywiązuje. Lat temu kilkanaście przemianowano w Królestwie Polskiem wiele bardzo miasteczek na proste osady (посадъ); gdyby więc teraz Instytut narodowy francuski zajął się tą kwestją, to, na zasadzie nowej nomenklatury, miałby już daleko mniej powodów do dziwienia się. — Sądząc jedynie według nazw, należałoby np. Włochom przypisać mniej miast i miasteczek, aniżeli Polsce. We Włoszech bowiem, przynajmniej we Włoszech północnych, nawet osady bardzo znaczne, liczące po kilka tysięcy mieszkańców, będące centrami administracyjnymi całych powiatów, mieszczące w sobie średnie zakłady naukowe, nie noszą wcale nazwy miast (città), ale po prostu siół lub osad (borgo). Takimi są np. Tarcento, Gemona (przeszło 8000 mieszkańców), Moggio itd. Być miastem jestto może wielki zaszczyt, ale jeszcze większy ciężar. Podobnie w Austrii południowo-zachodniej liczba „miast“ jest chyba stosunkowo

---

wniej „засѣдатель“), gród (городъ) — siedlisko przynajmniej naczelnika policji powiatowej (ujezdnej) czyli „isprawnika“ (капитанъ-исправникъ, teraz po prostu исправникъ), a dawniej prócz tego — osobnego naczelnika policji miejskiej czyli horodniczego (городничій), zależnego nie od naczelnika powiatu, ale wprost od gubernatora. Tak więc nazwy gorod i посад noszą charakter administracyjny, sloboda zaś, sioło i dieriewnia (деревня, wieś) — charakter ekonomiczno-kościelny.

niewiele większa od liczby miast w Wielkorosji. Tak np. prowincja Krajna z przeszło półmilionową ludnością ma za ledwie kilka „miast“. Czyż na zasadzie tego zaliczy p. Duchiiński Włochów i Słowińców do „Turańczyków“?

Zagadka owego mnóstwa „miast i miasteczek“ w gubernjach zachodnich Cesarstwa Rosyjskiego rozwiązuje się bardzo prosto. Miast tych i miasteczek nie zakładali wcale pierwotni ziem tych mieszkańcy, Słowianie i Litwini. Zawdzięczają one swój początek w pewnej części Niemcom, głównie zaś Żydom. Miasteczka polsko-litewsko-zachodnioruskie, nie spotykane wcale w innych krajach, nie mających takiej znacznej liczby żydów, są tylko dla żydów stworzone i im też zawdzięczają możność istnienia. Usunięcie żydów, a owe „miejsca centralne handlu i cywilizacji“ zamieniają się na wioszczyny najędźniejszego gatunku.

Przeciwno tylko co wymienionemu epitetowi — „miejsca centralne handlu i cywilizacji“ — muszę jak najuroczyściej zaprotestować. Nazywać tak te brudne, cuchnące miściny jestto najgrawać się ze zdrowego rozsądku. Niechaj p. D. przejedzie się po tych miasteczkach, a przekona się, że chyba tylko przez ironję można nazywać „handlem“ drobną szacherkę i okpiwanie miejscowych i przyjezdnych chłopów, oraz sprzedaż bułek i gomulek na nędznych straganach. Siedlisk zaś cywilizacji dopatruje p. D. chyba w niezliczonej ilości szynków, których w takich miasteczkach bywa czasami więcej, aniżeli miejscowych gospodarzy chrześcijan. Wódka, ruina materialna i demoralizacja ludności wiejskiej — oto wpływy cywilizacyjne owych „centrów handlu i cywilizacji.“ — Niech więc p. D. i jego zwolennicy położą rękę na sercu i przyznają, że Słowianie zachodni, uznawani przez nich za Aryjczyków w potęgze najwyższej, nie mają się czego chwalić swojemi „miastami i miasteczkami.“

Załatwiwszy się w sposób bardzo pobieżny z innemi „dowodami“ p. D-go, dotknę jeszcze jednego, mianowicie **języka**. P. Duchiiński twierdzi, że chociaż „Moskale-turańczycy“

mówią dziś pewną modyfikacją języków słowiańskich, to jednak nie jest to ich język żywy, samodzielnie rozwinięty, ale sztucznie nabyty. Ta dziec turańska mówiła dawniej innym jakimś językiem. Z wprowadzeniem zaś chrześcijaństwa przyjęła także język cerkiewno-słowiański, którym mówi dotychczas, zepsuwszy go naturalnie po turańsku. Co innego języki małopolski i białoruski. To są języki z dawien dawna właściwe mówiącym niemi plemionom, języki żywe, swobodne od sztucznego przeplacowania i od obcych naleciałości. — Utrzymywać coś podobnego może tylko p. D. lub też „uczeni“ jemu podobni, których niewinne dusze nie zostały wcale skalane znajomością budowy języków słowiańskich oraz wzajemnych stosunków pokrewieństwa między temi językami. Gdyby panowie ci znali choćby tylko początki teorii języków słowiańskich, wiedzieliby, że wszystkie gwary wielkoruskie (w tej liczbie język literacki) i białoruskie stanowią osobną grupę w różnicy od gwar małopolskich, ale że obie te grupy razem, wielkoruska i małopolska, powinny być połączone w jedną wspólną rodzinę, w przeciwstawieniu do reszty języków słowiańskich. Że Wielkorusy są Turańczykami, którzy pożyczili sobie języka cerkiewno-słowiańskiego, może utrzymywać tylko ten, kto ma bardzo słabe i nieokreślone pojęcie tak o budowie języków słowiańskich, jako też o tem, w jaki to sposób i jakiego rodzaju języki mogą być narzucane całym ludom. Podobne cudowne przyswojenia języków mogą mieć miejsce chyba tylko w bajeczkach p. Duchńskiego, ale nigdy w rzeczywistości.

Język wielkoruski (tj. język literacki rosyjski wraz ze wszystkimi gwarami wielkoruskimi) jest językiem czysto słowiańskim co do budowy, co do strony głosowej i morfologicznej, a do tego jednym z najżywoźniejszych i najsamodzielniejszych języków słowiańskich. Są w nim wprawdzie obce naleciałości, obce żywioły leksykalne, tj. obce wyrazy i kategorie wyrazów. Jest w nim np. kilka grup wyrazów, zawdzięczających swój wygląd głosowy wpływowi języka ksiąg cerkiewno-słowiańskich, biorących swój początek od

Słowian południowych. Są w nim także w dość znacznej ilości wyrazy obce nie-słowiańskiego pochodzenia; ale stałego wpływu obcego na fonetykę żywą czyli na wymawianie oraz na budowę języka morfologiczną i syntaktyczną nawet najstaranniejsze badanie nie wysledzi. Ta sama suma obcych elementów znajdzie się także w innych językach słowiańskich. Przedewszystkiem język polski, który p. D. uważa za najbardziej słowiański, zdradza bardzo zasadniczy obcy wpływ w utracie pierwotnego słowiańskiego akcentu przenośnego, zachowanego np. przez całą grupę ruską języków słowiańskich (w tej liczbie przez język wielkoruski). Na tej samej zasadzie, co w języku polskim, możnaby przypuszczać obcy wpływ w językach łużyckich, w języku czeskim, słowackim itd. Czy jednak istotnie ztrata akcentu ruchomego i przykucie akcentu do pewnej zgłoski wyrazu (np. w polskim do przedostatniej, w czeskim do pierwszej od początku itp.) jest skutkiem wpływu obcego, nie podobna rozstrzygnąć, chociaż trudno nie zwrócić uwagi na tę okoliczność, że podobny akcent, stale związany z pewnymi głoskami wyrazu, charakteryzuje właśnie języki „turańskie“, fińskie i turecko-ałtajskie.

Widzimy tedy, że ze swoim językiem cerkiewno-słowiańskim, narzuconym nibyto wraz z chrześcijaństwem „Turańczykom“ Europy wschodniej, p. D. wybrał się bardzo nie nie w porę.

**Metoda wykładu** p. D-go, tj. sam sposób wiązania dowodzeń z twierdzeniami, godną jest najzupełniej samych tylko co potrąconych dowodów. Sposób ten polega na bezustannem wmawianiu w czytelnika, na podobieństwo tego, jak robią pewne kumoszki, nie mogące na poparcie swoich „głębokich przekonań“ przytoczyć czego innego oprócz uroczystego zapewnienia, że to jest prawdą i że one w tę prawdę wierzą. P. Duchński powtórzy jedno i to samo jakie sto razy i sądzi, że po tak uporeczywem zapewnieniu o prawdziwości oczywistych niemożliwości każdy czytelnik powinien uchylić głowę przed nieubłaganą logiką i przekonywającą

wymową autora. Jestto więc metoda „słowa honoru“ i „jak bożię Kocham“. Na dowiedzenie jednakże „turańskości“ Wielkorusów „słowo honoru“ dalibóg nie wystarcza, podobnie jak nie wystarcza ono do przekonania zdrowego rozsądku, że 2 razy 2 jest 5.

Wzmiankowaliśmy już o braku danych statystycznych. Wprawdzie p. D. posługuje się niekiedy statystyką, ale ... zwykle niefortunnie. Przykład takiego nieudatnego stosowania statystyki widzieliśmy na owej sprawie „miast i miasteczek, miejsc centralnych handlu i cywilizacji“.

Ale bo też pobudki całej owej działalności naukowej, pobudki owych twierdzeń o „turańskości“ i „aryjskości“ oraz dowodów, naciąganych dla poparcia twierdzeń, nie były wcale naukowe, ale tylko polityczne. Twierdzenia te dyktowała nienawiść plemiennie-polityczna i chęć adwokatowania na korzyść Polski przed „Europą“, tj. przed zgrają dyplomatów podejrzanego gatunku. Stąd to owo naciąganie i przekręcanie etnografji i geografji; stąd podnoszenie Dniepru i Dźwiny oraz „rzeczek Finlandji“ do znaczenia granic dwóch światów; stąd owa ryczałtowość w określeniach i zupełny brak analizy szczegółowej.

Żaden sumienny historyk lub etnograf, czy to rosyjski, czy też obcy, nie będzie zaprzeczał, że w niektórych częściach ogromnego obszaru wielkoruskiego mamy istotnie ludność mieszaną, i to zmieszaną w dość niedawnym stosunkowo czasie. Okolic zaś, gdzieby ludność innoplemienna, „turańska“, porzuciła swój dawniejszy język i przyjmowała język słowiański, znajdzie się chyba bardzo niewiele. O czystej więc „turańskości“ antropologicznej i etnograficznej choćby tylko niewielkiej części Wielkorusów — w podobnym rodzaju, jak to ma miejsce z Murzynami, mówiącymi w Ameryce po angielsku lub po francusku — nawet mowy być nie może. Takie zaś zachowanie czystości rasy z zamianą jedynie języka a mieszanina etnograficzna — toć to przecie dwie rzeczy najzupełniej różne. Mieszanina ta dokonywa się drogą kolonizacji, drogą małżeństw mieszanych, przy czem co do języka bierze przewagę żywioł, znajdujący się pod tym lub

owym względem w pomyślniejszych warunkach. Sądząc z tego, co dziś widzimy, nie możemy i w przeszłości przypuszczać zbyt licznych wypadków tego rodzaju. Przecież dziś np. w Syberji tak zwani „inorodcy“ z wielką trudnością wyuczają się po rosyjsku, gdy tymczasem odwrotnie Wielkorusi dość często władają swobodnie językiem jakuckim oraz innymi językami „turańskimi“. Podobnie tam, gdzie wsie rosyjskie pomieszane są z tatarskimi, czuwaszskimi itp., spotykamy, obok pewnego języka mieszanego, pośredniego, także wyuczanie się właściwego języka drugiego plemienia, i to częściej może języków obcych przez Wielkorusów, aniżeli na odwrót, — pomimo wszelkiej opieki, okazywanej językowi panującemu. W takich razach prędzej chyba możemy mówić o „turanizacji“ Słowian, aniżeli odwrotnie o słowiańszczeniu „Turańczyków“. — Niemniej przeto nikt nie zaprzeczy, że niektóre plemiona „turańskie“ bardzo zmalowały na korzyść prących z zachodu Słowian, a niektóre nawet zupełnie znikły. Musiały to być plemiona, posiadające bardzo słabą siłę odporną i bardzo nieliczne w stosunku do zajmowanego przez nich terytorjum, co umożliwiałoby w tych ziemiach gęstą kolonizację wielkoruską. Przypuściwszy jednak nawet w niektórych okolicach mieszaninę Słowian z „Turańczykami“ przy silnej przewadze zoologicznej (antropologicznej) po stronie „Turańczyków“, albo, co więcej, proste zesłowiańszczenie całych gromad „turańskich“, pomimo tego wszystkiego będziemy musieli skonstatować fakt, że w wielu okolicach mamy Wielkorusów czystych Słowian, bądź to osiedlonych sposobem kolonizacyjnym na dawniej pustych, przez nikogo nie zajętych obszarach, bądź też siedzących w swoich siołach i miastach z dawien dawna, tj. ze stanowiska historii równie dawno, jak Polacy, Czesi, Serbowie, Małorusi itd. na ziemiach, przez nich zajętych. Źródła historyczne nie mogą wskazać czasu przybycia tylko co wymienionych plemion w zajmowane dziś przez nich siedziby; ale to samo ma miejsce ze znaczną częścią dzisiejszych siedzib wielkoruskich. Podobnie żadne badania czysto historyczne nie są w stanie wykryć w wielu ziemiach wielkoruskich mieszaniny etnografi-

cznej słowiańsko-turańskiej, a tem mniej prostego zesłowiańszczenia Turańczyków. Jeżeli zaś przypuścim podobny „przedhistoryczny“ proces u wszystkich Wielkorusów, to nikt nam także nie zabroni wystąpić z podobnem przypuszczeniem co do innych Słowian, co do Małorusów, Czechów, Polaków, Serbów itd., uważać ich za plemiona mięszane i wyszukiwać różnych „dowodów“ na poparcie tego przypuszczenia. Że pod względem języka absolutna czystość i nieskazitelność słowiańska np. Polaków, Czechów itd. jest cokolwiek podejrzaną, wzmiankowaliśmy już wyżej. Nie zaś tu nie pomoże twierdzenie p. Duchńskiego, że na płaszczyznach Mazowsza trzeba szukać pierwotnej siedziby Słowian.

W każdym razie są to kwestje bardzo zawikłane i po większej części nie dające się nigdy stanowczo rozwiązać. Kto chce rzucić choć cokolwiek światła w tę ciemnię naukową, powinien postępować bardzo ostrożnie, powinien wyrzec się ryczałtowych sądów o całych plemionach, powinien kwestje obszernego zakroju rozłożyć na drobne kwestje pochodzenia mieszkańców pojedynczych ziem, zadawalniając się skromnemi a mozolnemi badaniami początku i składu ludności np. okolic Wiatki, okolic Nowogrodu, Jarosławia, Moskwy itd. Z takich sumiennie przeprowadzonych monografji (których kilka posiada już literatura etnograficzna) może się z czasem złożyć ogólny obraz, choćby tylko w przybliżeniu odtwarzający istotny przebieg faktów.

Ażeby sprostać podobnemu zadaniu, potrzeba przede wszystkim posiadać głowę, wolną od przesądów, a natomiast uzbrojoną pewnemi **ogólnemi pojęciami** naukowemi, których brak widnieje z każdego dzieła prof. Duchńskiego. Tak np. pojęcie rozwoju, pojęcie stopniowych przemian i przejść z jednego stanu społecznego do drugiego, następnie pojęcie chronologii w jej najogólniejszem, przyrodniczem znaczeniu, tj. pojęcie nawarstwień historycznych z różnych perjodów, itp. — wszystko to są rzeczy, najzupełniej lekceważone przez naszego etnografa. W związku z tem nie uwzględnia on wcale wpływu warunków i okoliczności na takie lub inne ukształtowanie życia pewnego plemienia. P. Duchński nie



jest w stanie pojąć, że ludy, stojące dziś na stopniu życia koczowniczego i pasterskiego, mogą, przy zmianie radykalnej warunków bytu, stać się osiadłymi i rolnikami. Co jest właściwie tylko różnicą stopnia rozwoju, różnicą chronologiczną, oraz różnicą warunków bytu, to występuje u p. D-go jako różnica zasadnicza, jako nieprzebyta granica, dzieląca ludzkość na dwa światy, nie wspólnego między sobą nie mające.

I gdybyż to przynajmniej owo rozróżnianie dwóch światów było oparte na czemś więcej, jak na prostej igraszce słów, jak na ciągłym zestawianiu i przeciwstawianiu wyrazów „aryjskość” — „turańskość”, „Aryjczycy” — „Turańczycy”, „słowiańskość” — „moskiewskość”, „Słowianie” — „Moskale” itd.! Wygląda to jak gdyby warjacje na temat legendy o Semie, Chamie i Jafecie, gdzie oczywiście Jafetem zostaje „aryjczyk”, a Chammem — „turańczyk”, — nomenklatura etnograficzna nie o wiele szczęśliwsza od nazwania szlacheica Jafetem, a chłopca Chammem. Ze wszystkich podań starotestamentowych p. Duchiniński umiłował szczegół najwstrętniejszy, szczegół, na który wzdryga się czyste nieskalane uczucie sprawiedliwości, a mianowicie umiłował on sobie podanie o grzechu pierworodnym i o przekleństwie, ciężącym za grzechy ojców na całym ich potomstwie aż do ostatniego pokolenia. Turańczycy, dla tego tylko że Turańczycy, skazani są na wieczne koczownictwo i pasterskość. Dobrze przynajmniej, że fakta zadają oczywisty kłam twierdzeniom p. D-go. Boć przecię Chińczycy, owi „Turańczycy” *par excellence*, siedzą daleko uporzyciej na ojczystej ziemi i są daleko pracowitszymi rolnikami, aniżeli nadwiślańscy „Aryjczycy” (Arjowie) p. Duchinińskiego.

Nasz etnograf głosi ewangelję miłości wszecharyjskiej i co najmniej obojętności, jeżeli nie nienawiści, Arjów do świata turańskiego. Ponieważ jednak do świata aryjskiego zostają zaliczone wszystkie narody europejskie na zachód od Dniepru i „rzeczek Finlandji”, więc — mówiąc bez ogródki — chodzi tu po prostu o skonfederowanie całej „Europy” wraz z aryjską Polską celem odepchnięcia na wschód „Moskwy”

turańskiej. Nie mówiąc już o tem, że podobna moralność bardzo przypomina moralność żydowską, dzielącą świat na bliźnich-żydów i „goimów“-nieżydów, albo też moralność Koranu, ściśle rozróżniającą wiernych i gjaurów, — musimy nadto zauważyć, iż fakta historyczne i spostrzeżenia życiowe nie uprawniają w żaden sposób podobnego jednoczenia wszystkich Arjów w jedną miłującą się nawzajem owczarnię.

Niechajno p. Duchński i jego wyznawcy raczą sobie przypomnieć, kto był zawsze największym wrogiem Słowian zachodnich wogóle, a Polski w szczególności. Zdaje się, że przedewszystkiem arcy-aryjski i arcy-chrześcijański Zakon krzyżowy i jego germańscy współplemieńcy. Kto pierwszy jeszcze w r. 1392 podał projekt rozbioru „aryjskiej“ Polski? „Aryjscy“ Krzyżacy. Kto zawsze tępił bez litości Polaków, Litwinów i wszystko nie-niemieckie, chociaż zresztą nieposzlakowanie „aryjskie?“ Królowie, książęta, landraci, żandarmi pruscy — czyści „Arjowie.“ Któż to dziś wypędza Polaków-„Arjów“ całemi tłumami? „Aryjczyk“ Bismark i jego pachołki germańsko-„aryjskie.“ — A co też to robił ów przyjaciel serdeczny Polaków, „aryjczyk“ Napoleon I? Dusił ich żółtą febrą i pomiatał niemi, jak zaślepionemi niewolnikami.

Dalej chyba ani p. Duchński, ani żaden z jego — (na szczęście, bardzo nielicznych) — wyznawców nie zaprzeczy, że tak Polacy, jako też inni „Arjowie“ wogóle, a Słowianie w szczególności, często gęsto wiązali się z Turkami i innymi „Turańczykami,“ ażeby tem skuteczniej zgnębić innych braci „Aryjczyków.“ — Podobnie wewnątrz samej Rzeczypospolitej „aryjsko“-słowiańsko-polskiej błogosławionej pamięci Targowica i rozmaitego kalibru jurgieltnicy-„Arjowie“ wstępowali w otwarte związki z wrogami ojczyzny „aryjskiej,“ pamiętając jedynie o sobie i nie wchodząc w to wcale, czy podający im rękę potentat zagraniczny był „aryjczykiem,“ czy też „turańczykiem.“ „Aryjsko-słowiańskie“ zaś sejmy zrywali chyba zawsze czyści „Arjowie.“

Przesuńmy teraz przed oczyma p. Duchńskiego i jego wyznawców inny kalejdoskopik. Oto od niepamiętnych cza-

sów tępią się Słowianie północno-zachodni, łącząc się przeciwko własnym „braciom“ z największymi wrogami — Niemcami. Rozrywka ta trwała dopóty, dopóki prawie wszystkie mniejsze, a geograficznie skrajne plemiona nie zostały wytępione albo też zgermanizowane, a to, co pozostało, ulega dotychczas stopniowemu zagrabianiu ze strony Niemców. A tak jedni, jak drudzy, jak trzeci — przecież to tylko „Arjowie“ bez najmniejszej domieszki turańskiej. — A może też znowu zechcemy sobie przypomnieć pieszczoły hajdamacko-karmazyńskie XVII-go i XVIII-go (po trosze nawet i XIX-go) wieku: wiekopomne czyny Jeremich Wiśniowieckich, Bohdanów Chmielnickich, starostów Kaniowskich, Gontów, Żeleźniaków i całej owej krwi łąkającej zgrai. — Zechcimy nareszcie spojrzeć na „braci“ Serbów i Bulgarów, tępiących się obecnie dla sprawienia pociesznego widowiska Europie „aryjsko-chrześcijańskiej.“

Wszystko to były różne przykłady z zakresu miłości plemiennej w łonie świata „aryjsko-słowiańskiego.“ Może też inaczej, t. j. istotnie miłośnie, przedstawi się owa miłość w zakresie religijnym. Niestety! choćby jedna noc św. Bartłomieja oświeca ten obraz równie krwawem światłem, jak łuny i pożogi wojen międzyplemiennych i międzynarodowych. A wielkie czyny świętej Inkwizycji choćby w jednej ultra-„aryjskiej“ i ultra-chrześcijańskiej Hiszpanji! A wypędzanie bez litości całych sekt znienawidzonych! A choćby np. wygnanie „aryjskich“ Arjanów z granic „aryjskiego“ państwa polskiego.

Podobnie rozczulający obraz miłości wszecharyjskiej przedstawiają nam także stosunki społeczne czyli socjalne po wszystkie wieki. „Aryjskość“ nie broniła nigdy niewolników od znęcania się nad nimi ich panów, czy to owa niewola przedstawiała się w postaci zwykłych niewolników Grecji i Rzymu, czy też w postaci do ziemi przykutych chłopów, czy to znowu w postaci robotników, zgadzających się z głodu na wszelkie warunki, dyktowane im przez kapitalistów, czy też jeszcze w postaci całych zastępów niższej biurokracji, czy to nareszcie w postaci „ofiar temperamentu

społecznego,“ trzymany gwałtem w domach nierządu i odprzedawanych z rąk do rąk jak za najlepszych czasów. Od podobnej niewoli nigdy nikogo nie broniło, nie broni i bronić nie będzie jak najczystszej krwi pochodzenie „aryjskie.“ — „Aryjczycy“ panowie wieszali sobie dla rozrywki chłopów „aryjczyków,“ gwałcili chłopki „aryjki,“ stworzyli *jus primae noctis*, prawo wspólne im i patryjarchom Goryllów czy też jakiejś innej odmiany naszych krewnych czwororęcznych. — Bardzo zaś wymowną ilustracją owej bratniej miłości wszecharyjskiej na tle stosunków socjalnych w łonie tego samego społeczeństwa były rzezie obustronne w czasie komuny Paryzkiej z r. 1871.

Nie mówię już o zaciętych kłótniach w łonie jednej i tej samej rodziny, o rodzonych braciach, procesujących się do upadłego, i o innych t. p. zjawiskach, przypominających widok dwóch psów, gryzących się o kość, a jednakowo właściwych tak światu „turańskiemu“, jako też „aryjskiemu“. Wszędzie walka, wszędzie wzajemne czyhanie na własność i skórę bliźniego, czyhanie i tępienie się, które mądrość średniowieczna ujęła w wyrażeniu „*homo homini lupus*“ (człowiek człowiekowi wilkiem). Zresztą w wyrażeniu tem za wiele mieści się zaszczytu dla człowieka, a wilk zostaje niepotrzebnie oszkalowany. „*Homo homini homo*“ — oto zupełnie dokładne, zgodne z rzeczywistością sformułowanie owej maksymy. Zwierzę o tyle jest wyższem od człowieka, że przy zamachach na inne zwierzę chodzi mu jedynie o zaspokojenie głodu lub innych potrzeb fizycznych. Wilk zje owcę, ale nie będzie jej zmuszał do zmiany przekonań, nie będzie jej narzucał swojej wiary, swojego języka, nie będzie jej zmuszał do stania się wilkiem. Jeden samiec-zwierzę zdusi drugiego w walce o samicę, ale nie będzie wymagał od pokonanego rywala wyznania, że zwycięzca ma do tego jakieś wyższe prawo, że postąpił sprawiedliwie. A człowiek, czy to „Aryjczyk“, czy „Turańczyk“, tępi swego „bliźniego“ dla ideału, dla mrzonek. Tylko między ludźmi spotykają się kanibale moralni i polityczni, domagający się np., ażeby

w jednym państwie była tylko jedna narodowość, jedna religja, jeden język.

Jeżeli co odróżnia tu świat „aryjski“ od świata „turańskiego“, to może większa obłuda, większa chęć usprawiedliwienia czynów kanibalskich przepisami osobliwej moralności politycznej. I właśnie wynalazek **dwóch moralności**, — jednej prywatnej, a drugiej publicznej, — stanowi zaszczytną zdobycz głównie świata „aryjskiego“. Przy ocenie życia prywatnego stosujemy wymagania moralności zwykłej, czy to „przykazania boskie“, czy też wyniki moralności naukowo-praktycznej. Zapytujemy, czy człowiek był uczciwym, czy nie krzywdził innych ludzi, czy jego egoizm nie zacierał w nim popędów altruistycznych itd. Tymczasem przy ocenie czynów mężów, występujących na widownię polityczną, nie zważamy wcale na podobne fraszki; rzadko też który z podobnych mężów niemi się kępuje. Nawet najzawziętsi możnowładni obrońcy wiary Chrystusowej trzymali się po wszystkie czasy nie ewangelji Chrystusa, ale ewangelji kanibalizmu, którą w naszych czasach najotwarciej głosi „największy mąż stulecia“, nieomylny i wszechmocny książę Bismarck von Schönhausen. „Rwij co możesz“, „depcz co się da“, „niszcz co ci w drogę włazi“, „siła przed prawem“ — oto przykazania i zasady tej wielkich mężów jedynie obowiązującej „moralności“ publicznej i międzynarodowej. Tutaj Bismarck okazuje się najdoskonalszym uczniem Kanta, chociaż z pewnością podobnego ucznia ani się spodziewał, ani też pożywał znakomity filozof Królewiecki. „Postępuj tak, ażeby z twego postępowania dało się wyciągnąć ogólne prawo“ — tę receptę książę Bismarck stosuje z doskonałym skutkiem. Nigdy bowiem chyba nie było jeszcze „tylu przedsiębiorców“ na wielką i małą skalę, którzy, spełniając największe gwałty i bezprawia, nie powoływaliby się otwarcie na przykład „wielkiego męża“ i ewangelję kanibalizmu nie usprawiedliwialiby swoich „śmiałych“ i „bohaterskich“ czynów.

Z powyższego aż nadto jest widocznem, że p. Duchński wybrał się bardzo nie w porę z kazaniem na temat miłości wszecharyjskiej wogóle, a wszechsłowiańskiej w szcze-

gólności. Mógł on sobie oszczędzić zupełnie rozmaitych naciągów i przekręcań. Mógł nie poświęcać prawdy na ołtarzu miłości; mógł nie zaliczać do „Aryjczyków“ takich „Turańczyków“ oazywistych, jak Węgrzy i Finnowie; mógł nie roz wodzić się nad wielkiem znaczeniem Węgrów i Basków dla cywilizacji europejskiej.

A jednakże wywody p. Duchńskiego brano na serjo w świecie uczonym Europy zachodniej. Przecież potrafił on nietylko „przekonać“, ale nawet sfanatyzować dla swej „teorji“ Henri Martina oraz innych „poważnych uczonych“ francuzkich, niemieckich itd. Dowodzi to tylko, w jak mizernym stanie znajduje się jeszcze metoda nauk historycznych.

~~~~~

W tem, co dotychczas powiedziałem, dotknąłem zlekka i powierzchownie „teorji“ p. Duchńskiego samej w sobie. Przypatrzmy się teraz jej **praktycznym rezultatom**, jej wpływowi na umysły, na postępowanie i na losy rodaków jej twórcy.

Od chwili ostatecznego upadku politycznego w końcu przeszłego wieku pozbawionym wielu innych organów samodzielnego życia publicznego Polakom pozostawała jednakże nauka, jako jedna z niezaprzeczonych rękojmi i dźwigni siły narodowej. Na polu naukowym nikt nie mógł zabronić pracować, dążyć do prawdy i odkryć, bez żadnych przekręcań, naciągów i tendencji. Wielka więc odpowiedzialność ciążyła na polskich uczonych, odpowiedzialność jeszcze większa, aniżeli u innych narodów, cieszących się odrębnością państwową. — Z drugiej strony Polacy znajdują się o tyle w „szczęśliwszem“ położeniu, niż inne narody, że, byle tylko pozbyli się pretensji do niemożliwej restauracji tego, co zostało straconem, mogą być bezstronniejsi, mogą wyłącznie dążyć do prawdy. U innych narodów politykujących stoją na czele wieley męże, uprawiający na wielką skalę kanibalizm polityczny, a zgraja psujących bibułę fagasów uczonych w ro dzaju filozofa Hartmanna staje na tylnych łapkach, ogonem

kręci, w oczy wielkim mężom patrzy, podśluchuje ich, stara się zrozumieć każde ich skinienie i „ze stanowiska naukowego“ usprawiedliwić wszystkie gwałty kanibalów. Bismark powie „Macht vor Recht“ (siła przed prawem), a z tego usłudni uczeni kują nietylko prawo naukowe walki o byt, ale postulat moralności, zasadę działania. Polacy nie mogą mieć swoich Bismarków; nie powinni też mieć swoich Hartmannów, nie powinni mieć uczonych fagasów, piejących chwałę bądź to Napoleona IIIgo, bądź też Bismarka. Polacy nie mogą się bawić w „grande nation“, więc też i szowinizm polityczny powinien im być obcym. Wszędzie jest on wstrętnym, ale, opierając się na armatach i bagnietach, ma przynajmniej realną podstawę. Szowinizm, szukający podstawy jedynie w przeszłości i w chorobliwych utworach wyobraźni, jest tylko głupi i wstrętny.

Nietylko nad rozwinięciem podobnego szowinizmu, ale także wogóle nad zaślepieniem Polaków i **przewracaniem im w głowy** pracowali — prawdopodobnie nieświadomie — p. Duchński i jego zwolennicy naukowci.

Już samo narzucenie Dnieprowi i rzeczkom Finlandji roli granic między Europą wschodnią i zachodnią — podział nie usprawiedliwiony ani geograficznie, ani historycznie — nie mogło się zbyt przyczynić do rozjaśnienia umysłów i oczyszczenia pojęć geograficznych. O ileż szkodliwiej działał na umysły ów brak wszelkiej krytyki i owa nuta zaciekłości politycznej, przenikająca wszystkie utwory p. Duchńskiego!

Pamiętam doskonale, z jakim to nabożeństwem wymawiała szkolna młodzież polska w r. 1861—1863 nazwisko Duchńskiego, a z jaką znowu nienawiścią i pogardą dla pochodzenia „turańskiego“ ta sama młodzież (naturalnie nie wszyscy Polacy uczący się, ale znaczny ich procent) wyrzucała z siebie nazwy Bogu ducha winnych Czeremisów, Czuwaszów, Mordwy, Mieszczeriaków, Baszkirów itd., piętnując nimi Wielkorusów; w najwyższym zaś stopniu uniesienia patryjotycznego utożsamiano Wielkorusów z Mongołami. O krytyce mowy tu być nie mogło. Mózgownice, karmione nienawiścią, brały na wiarę wszystko, co tylko podsycalo tę nie-

nawiść; a jakież argument mógł się ostać przed autorytetem Duchyńskiego w owe czasy, kiedy lada artykuł z Daily News lub Journal des Débats, odzywający się sympatycznie o Polakach, powtarzano z namaszczeniem, przepisywano, wyuczano się na pamięć, — w owe czasy, kiedy lada wierszydło, obrzucające błotem prawdziwych lub mniemanych wrogów Polski, polykano z chciwością i deklamowano na prawo i na lewo, — w owe czasy arlekinady, czasy „przebierania się za Polaków“ i bawienia się w żołnierzy, — w owe czasy, kiedy kilkunastoletnim malcom oddano rządy, a ci, co zupełnie prawnie mogli byli stać na czele, pochowali się po kątach, drżąc przed lada smykem, śmiało im wymyślającym!

P. Duchyński należał do tych ludzi, co w ciągu wielu lat pracowali nad ogłupianiem inteligencji polskiej, nad zwracaniem jej głowy, nad mydleniem jej oczu, nad odwracaniem uwagi od rzeczy niezbędnych i istotnych, a zwracaniem jej na mrzonki; — skutkiem czego było bawienie się w halucynacje polityczne, a następnie trawienie sił na żebranie o „interwencję,“ na narzucanie się ze swą „aryjskością“ dla sformowania krucjaty przeciwko Rosji w celu odbudowania starej Rzeczypospolitej, która dawniej, będąc obszerną i ludną, sama o własnych siłach nie potrafiła się utrzymać. Skutkiem tego wszystkiego była wreszcie sama w sobie bezcelowa awantura polityczna, mająca jedynie na celu za pomocą „męczeństw“ wywołanie litości w Napoleonach i innych szarlatanach politycznych i sprowadzenie ich wskrzeszającej „interwencji,“ — i to wszystko kiedy? wtedy właśnie, kiedy dane były wszelkie warunki po temu, ażeby się swobodnie, wszechstronnie po polsku rozwijać.

Pamiętam, jak w dzieciństwie bawiłem się w przerażanie karty Europy, kierując się naturalnie sympatjami i antypatjami narodowymi. Polska, rozumie się, rozciągała się od morza do morza, ogarniając ujścia nie tylko Dniepru, ale nawet i Donu. Za to jej sąsiadom dostały się jakieś okrawki, na których zaledwie jako tako wegetować by mogli. Była to sobie niewinna zabawka dziecinna, podobnie jak zam-



ki z kart i t. p. ćwiczenia. Ale dla ludzi dorosłych podobne bawienie się mrzonkami, podobne fantastyczne przerabianie rzeczywistości — to doprawdy zbyt szkodliwa zabawka. Obląkany Don Kiszot mógł brać swoje przywidzenia za rzeczywistość i, wprowadzając je w czyn, porywać się z włócznią na wiatrak albo z motyką na słońce. Ale jeżeli coś podobnego robi inteligentna warstwa narodu, to może być objaśnione tylko jej..... obląkaniem. A nad rozwinięciem i podtrzymaniem tego obląkania pracował gorliwie pewien zastęp ludzi piszących, w ich liczbie p. Duchyński.

Pomijając utylitaryzm polityczny, nie można nie zwrócić uwagi na szkodliwy **wpływ moralny** podobnych „teorii“. Czyż może wpływać uszlachetniająco i umoralniająco chroniczne zaciętrzewienie, ślepa nienawiść plemienna, zastąpienie analizy obelżywami słowy („carat,“ „Moskwa,“ „Moskale“ i t. p.)? Odbicie tego roznamiętnienia pod tym samym kątem nie długo kazało na siebie czekać. Przedewszystkiem wywołało ono systematyczną krucjatę kanibalistyczną gazet rosyjskich przeciwko Polakom, a następnie różne środki praktyczne, podyktowane głównie przez nienawiść. W ten sposób zostało rozpoczęte szczucie Polaków (Polenhetze), równie wstrętne jak wszelkie tego rodzaju szczucia, Judenhetzen, Deutschenhetzen, Slawenhetzen i t. d., ale w skutkach potężne i przynoszące gorzkie owoce dla szczutego plemienia.

Niemniej szkodliwym pod względem moralnym było owo przewracające w głowach powoływanie się na prawa „aryjskości,“ na prawa pochodzenia arystokratycznego Polaków. Jestto wstrętny arystokratyzm plemienny, skazujący na barbarzyństwo jedynie za niższe, nie „aryjskie“ pochodzenie całe plemiona i gromady plemion. Podobnie jak, według niektórych dawniejszych antropologów północno-amerykańskich, Murzyni, jako tacy, powinni być skazani na wieczne niewolnictwo, tak samo, według p. D-go, różne pochodzenie, „aryjskie“ lub „turańskie,“ wznosi między ludami Europy zachodniej i wschodniej niczem nieprzełamaną prze-

grodę. Przy tej sposobności popelnia p. D. małą niekonsekwencję. Rozwodząc się bowiem nad wielkiem znaczeniem Madziarów i Basków dla cywilizacji aryjsko-europejskiej, zalicza tem samem tak jednych, jak drugich do wybranego plemienia „Arjów.“ Ze stanowiska p. D-go było to bardzo zrozumiałe. Jakżeż bowiem inaczej można było utrzymać nienaruszonym przysłowie: „Polak Węgier — dwa bratanki“ i t. d.? A prócz tego szlachta węgierska, dziś w Austrii rej wodząca, miała zawsze niepoślednie znaczenie w monarchji Habsburgów, której udział w koncercie arjo-europejskim, mającym wskrzeszać Polskę, wydawał się p. D-mu nieuniknionym. Co się zaś tyczy Basków, to przypisano im wielkie zasługi dla cywilizacji europejskiej i zaliczono ich do wielkiej rodziny aryjskiej chyba jedynie dla przyzwoitości i dla okragłości. Tymczasem należało być właściwie konsekwentnym i wszystkich nie-„arjów,“ a więc Węgrów, Finów, Basków, wyrzucić z Europy zachodniej za Dniepr i „rzeczki Filandji“.

Powołując się w literaturze i na dworach europejskich na swoją „aryjskość“, dającą sama z siebie prawo do niezawisłości politycznej, Polacy tej kategorii robili wrażenie żebraków-panów, albo też pasorzytniczej młodzieży złotej, *eo ipso* roszczonej sobie prawo do zajmowania pierwszorzędných stanowisk. Poza tem zapominano o „prawach“ ludzkich, zapominano, że każdy człowiek, czy to „aryjczyk“, czy „turańczyk“, ma prawo wymagać, ażeby szanowano jego język, jego zwyczaje, jego przekonania, jego religję (w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu), ażeby się nie wdzierano do jego spraw rodzinnych, żeby nie kazano mu umierać z głodu, a żeby na odwrót nie zakazywano mu oddychać, ruszać się swobodnie, mówić i pisać językiem ojczystym. Zapominano o najpierwszej zasadzie pedagogicznej, że każde, czy to „aryjskie“, czy „turańskie“, dziecko ma prawo do tego, ażeby mu nie bałamucono głowy i ażeby je przede wszystkim uczono we własnym jego języku. Powoływano się ciągle na prawa szlacheckie do panowania w granicach 1772 r., w owych granicach, których prywatą i jurgielnictwem

w swoim czasie obronić nie mogły, a lekceważono sobie prawa ludzkie, które można gwałcić bezkarnie, ale których żaden umysł niespodlony zaprzeczyć nie jest w stanie.

Szkodliwe skutki praktyczno-polityczne halucynacji politycznych trwają dotychczas i długo jeszcze trwać będą. Rozpoczęły się one od stłumienia awantury politycznej i od prześladowania plemienia polskiego jedynie tylko za jego polskość. Wtedy to inaugurowany został nowy perjod . . . mimowolnego „koczownictwa“ Polaków. Część ich musiała wbrew woli przyjąć udział w zaludnianiu obszarów „turańskich“ het daleko za Dnieprem i Dźwiną. Inni schronili się na zachód pod skrzydła opiekuńczej Europy. Inni, nawet nie napiętnowani żadnym grzechem osobistym, jedynie dla swego grzechu pierworodnego, muszą szukać chleba po wszystkich obcych kątach, bo go u siebie, na własnej ziemi znaleźć nie mogą. Jeszcze w roku bieżącym rozpoczęto nową serję mimowolnego „koczownictwa“ Polaków, z łaski wszechmogącego Bismarka. Wszystkich tych koczownictw nie byłoby, gdyby nie rozmaite w głowach zawracające „teorje“, wychodzące od lat kilkudziesięciu właśnie z obozu owych zachodnio-europejskich koczowników polskich. Zdala od ziemi ojczystej, nie pojmowali jej potrzeb, bawiąc się tylko w przeprowadzanie swych mrzonek i wiele szkody wyrządzając krajowi.

Do tego obozu należał także p. Duchński. I jego ręka pracowała nad spychaniem kraju w coraz większą przepaść. Że jednak pracowała nieświadomie i w najlepszej wierze, więc nikt też jej za to nie potępia. Zaślepienie patryjotyczne oraz najczystsza bezinteresowność zupełnie wykupują, ze stanowiska odpowiedzialności moralnej, wszystkie błędy emigrantów. Ale uwolnienie od odpowiedzialności moralnej i składanie hołdów w imieniu narodu — to jeszcze dwie rzeczy zupełnie różne.

**P. Duchńskiego** osobiście **usprawiedliwia** jeszcze ta okoliczność, że „teorje“, podobne do jego teorji, były i są głoszone uroczyście w „Europie wschodniej“ i cieszą się

tam uznaniem niektórych uczonych, profesorów itp. Są to „teorie“ wynalazców szóstej części świata — Rosji, zaliczanych zwykle, choć niezbyt chyba słusznie, do tak zwanych „sławianofilów“, bo z tego, co piszą, wyglądających nieraz raczej na sławianożerców. Należy tylko przesunąć cokolwiek granice ze wschodu na zachód, oraz zrobić małe odmiany w nomenklaturze etnograficzno-geograficznej, a w uczonych wywodach tej „szkoły“ „panslawistycznej“ łatwo będzie odkryć zmodyfikowaną „teorię“ p. Duchńskiego.

Obie „szkoły“, tak Duchńszczycy, jako też owa grupa „sławianofilów“, dają nowy podział świata. Tylko Duchńszczycy ograniczają się skromniejszą nomenklaturą, rozróżniając jedynie Europę zachodnią i wschodnią i robiąc Dniepr, Dźwinę i „rzeczki „Finlandji“ linjami granicznymi między temi dwiema połowami naszej części świata. Owi zaś „sławianofile“ sławianożerczy nie są wcale tak skromni. Odkrywają oni bowiem całą szóstą część świata, a mianowicie Rosję, w przeciwstawieniu do Europy i Azji. Granicę zachodnią tej nowej części świata ma stanowić linja, poprowadzona od Gdańska do Triestu. Co leży na wschód od tej linji, a nie zostało jeszcze politycznie wcielone do Rosji, to tylko czasowo znajduje się w ręku zgniłej Europy, z czasem zaś musi chcąc niechcąc należeć do owej szóstej części świata.

„Teorja“ p. Duchńskiego została opartą na wspomnieniach przeszłości, na mrzonkach fantastycznych i na przeświadczeniu o wysokiem posłannictwie cywilizacyjnem Polaków. Wynalazcy szóstej części świata opierają także swoją „teorię“ na utworach fantazji, jak również na przeświadczeniu o wysokiem posłannictwie cywilizacyjnem Słowian wogóle, a Rosji w szczególności, oraz na bucie wielkopolskiej osobników, czujących za plecami siłę państwową, armaty i bagnety; a na takim tle nawet największy nonsens daleko poważniej wygląda. Tymczasem za plecami p. Duchńskiego stała tylko garstka zapaleńców i żebraków politycznych. To też jego „teorja“ sprawia daleko mizerniejsze wrażenie.

Na Greków, Albańczyków, Rumunów, Finnów, Węgrów (Madziarów) itd. oba obozy są jednakowo łaskawe: jedni robią z nich „zachodnio-europejczyków“, drudzy „Słowian“ (przynajmniej Słowian politycznych, jeżeli nie etnograficznych). Duchinśzczycy, przyjmując daleko szerszą rodzinę ludów, a mianowicie rodzinę „aryjsko-europejską“, nie mają z Grekami, Albańczykami i Rumunami żadnego ambarasu; przeciw te ludy i z języka należą do rodziny arjo-europejskiej. Pozostaje więc tylko wtłoczyć w formy „aryjskości“ Węgrów i Finnów. „Słowianofile“ wzmiankowanej „szkoły“, opierając się na wyłączności słowiańskiej, mają cokolwiek więcej kłopotu; starają się więc przekonać ludy niesłowiańskie, mieszkające na wschód od linii Gdańsk-Triest, że być Słowianinem to bardzo wielki zaszczyt. Tylko o Niemcach, tutaj osiedlonych, jakoś niewiele wspominają. „Resztki“ Niemców, osiadłych na wschód od linii Gdańsk-Triest, zostaną zapewne wysłane do Kamerunu, ażeby nie psuć ogólnej harmonji słowiańskiej.

„Słowianofile“ tej kategorii, coraz to liczniejszej, uznają w szóstej części świata tylko jedną jedyną narodowość („национальность“), zgadzając się wspaniałomyślnie tylko na istnienie różnych odrębności plemiennych („народности“); — i to właśnie ma stanowić osobliwość szóstej części świata. Tak to będzie kiedyś, a mianowicie „kiedy na jawie zobaczą wnuki to, co się ojeom śniło“. Tymczasem należy twierdzić, że w jednym państwie jest możliwą i dopuszczalną tylko jedna narodowość, a więc w Austrii — narodowość austrijacka, w Turcji turecka, w Belgji belgijska, w Szwajcarji szwajcarska, w Ameryce północnej amerykańska, w Serbji serbska, w Czarnogórze czarnogórska itd. Jestto istotnie stanowisko nieposzlakowanie prawomyślne i zgodne z istniejącymi urządzeniami. Tylko przy tej sposobności panowie ci znajdują się w maleńkiej sprzeczności z samemi sobą. Przyjmując bowiem za granicę zachodnią narodowości słowiańsko-ruskiej linję od Gdańska do Triestu, nie mogą chyba z tem pogodzić nietykalności Austrii z narodowością austrijacką, Turcji z narodowością turecką, Rumunji z narodo-

wością rumuńską, Grecji z narodowością grecką, Serbji z narodowością serbską itd. Ale bo też w umysłach, zamierzających wprowadzać na obcym gruncie austrijackim prawo 19 lutego (2 marca) 1864 r. (ukaz Aleksandra II. o uwłaszczeniu włościan w Królestwie Polskiem)<sup>1)</sup>, sprzeczności tego rodzaju muszą się godzić z wielką łatwością. P. Duchiniński jest o tyle łaskawszy, że w swojej Europie zachodniej uznaje różne narodowości. Tylko na wschodnim krańcu tej Europy zachodniej ma istnieć jedna nierozdzielna narodowość polityczna, tj. narodowość polska, obejmująca w sobie Polskę, Litwę i Ruś, — stosownie do dziedzicznej recepty. — Różnica więc dwóch teorii polega na tem, że „słowianofle“ wzmiankowanej grupy opierają się na obecnych urządzeniach polityczno-administracyjnych oraz na coraz bardziej rosnącym apetycie aneksyjnym czyli zaboreczym, p. Duchiniński zaś na przeszłości fantastycznej i na przyszłości jeszcze fantastyczniejszej.

P. Duchiniński stoi o tyle wyżej, że u niego ludy europejskie nie wyprawiają szprynców horyzontalnych i wertykalnych, gdy tymczasem podobne ćwiczenia ekwilibrystyczne miewają miejsce w dziełach, wychodzących z obozu wynalazców szóstej części świata<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Zob. „Объ историческомъ изученіи греко-славянскаго міра въ Европѣ. Изслѣдованіе Владиміра Ламанскаго. С.-Петербургъ. 1871,“ str. 41.

<sup>2)</sup> Ażeby mnie nie posądzono o przesadę albo może nawet o fałszywe świadectwo przeciwko bliźniemu swemu, przytaczam dosłownie odnośne miejsca z jednego z obszernych dzieł wzmiankowanego wyżej obozu, a mianowicie z rozprawy doktorskiej „Объ историческомъ изученіи греко-славянскаго міра въ Европѣ. Изслѣдованіе Владиміра Ламанскаго. С.-Петербургъ. 1871“ (str. IV i 316). Otóż na str. 9 czytamy: „Съ тѣхъ поръ всѣ вертикальныя и горизонтальныя столкновения внутри Романо-Германскаго міра всегда бывали войнами внутренними, между-усобными, и, ослабляя Европу, были полезны Россіи и вообще міру Греко-Славянскому“. Na str. 15: „въ продолженіе всей средней и новой исторіи христіанско-Арійскаго чловѣ-

Tak jedni, jak drudzy byli szkodliwi swojemu społeczeństwu. Ale odpowiedzialność Duchinińskiego i jego zwolenników, — gdyby postępowali świadomie, — byłaby daleko większą; szkodzili oni bowiem swojemu społeczeństwu nie tylko umysłowo i moralnie, ale także pod względem praktyczno-politycznym. „Słowianofile“ zaś słowianożerczy psuli swoje społeczeństwo tylko umysłowo i moralnie, pracując nad oglupianiem czytającego ludku i rozwijając w nim dzikie instynkta, instynkta nienawiści i kanibalizmu politycznego.

W każdym razie po porównaniu z „teorją“ szóstej części świata błędnie niepospolicie dziwactwo i szowinizm

чества взаимныя отношенія Греко-Славянскои и Романо-Германскои ихъ половинъ, запечатлѣны гораздо болѣе всемірноисторическимъ характеромъ, чѣмъ всѣ народныя движенія и столкновения, совершавшіяся какъ въ предѣлахъ Романо-Германскаго, такъ и въ предѣлахъ Греко-Славянскаго міра, и въ горизонтальномъ, и въ вертикальномъ направленіи.“ Na str. 29—30: „Народныя движенія и столкновения въ средѣ Романо-Германскаго міра, какъ въ вертикальномъ, такъ и въ горизонтальномъ направленіи, не отличаются глубиною и силою той взаимной племенной вражды, такимъ ожесточеніемъ той тысячелѣтней слишкомъ борьбы, которая, по своему внутреннему историческому значенію и по своимъ результатамъ, во столько же важнѣе всякой внутренней борьбы, происходившей въ границахъ Романо-Германскаго запада, во сколько современный восточный вопросъ превышаетъ своимъ значеніемъ всѣ другіе, чисто-западные политическіе вопросы.“ Na str. 30: „Не таковъ также въ идеѣ и въ результатахъ тотъ внутренний антагонизмъ, который раскрывается въ народныхъ движеніяхъ и столкновенияхъ, вертикальныхъ и горизонтальныхъ, происходящихъ въ тоже время въ предѣлахъ міра Греко-Славянскаго, т. е. въ борьбѣ и войнахъ южныхъ Славянъ съ Греками, Албанцами, Угріи съ Поляками и Русскими, Чеховъ и Поляковъ или Болгаръ и Сербовъ, Сербовъ и Хорватовъ, Угріи и Чехи, сѣверовосточной и югозападной Руси и Литвы, Москвы, Россіи и Польши.“

„teorji“ p. Duchiińskiego. Być nawet może, iż w zakresie nauk etnograficznych tylko takie „teorie“ wyrabiały rozgłos w świecie swoim twórcom, a przez nich narodom, które ich wydały. Czy więc czasem p. Duchiiński nie wślawił imienia polskiego między narodami? Jeżeli zaś wślawił, to należy mu się wdzięczność, a, jako znak widzialny niewidzialnej wdzięczności, — jubileusz. Tak, istotnie, wślawił on jakiś czas imię polskie, ale też je zarazem ośmieszał i kompromitował, — naturalnie w oczach ludzi, trzeźwo i krytycznie na rzeczy patrzących. Można by jednak zapytać: dla czego by w czasach, w których lada zręczny skoczek albo też jaki mąż z gardłem rzemiennem, czarującym gości teatralnych, wyrasta na bohatera narodowego, — dla czego by w podobnych czasach nie wyprawić owacji publicznej mężowi, który rozślawiał imię swego narodu pracą na polu nauki? Zapewne na pozór nie ma nic przeciw temu do powiedzenia. Ale czyny tenora są nieszkodliwe dla bytu narodowego; głupieje od nich wprowadzić ludek boży, lecz na krótko, a psuje sobie co najwięcej gardła, wykrzykujące „brawo,“ otłuka sobie ręce klaszczące i wypróżnia kieszenie. Do awantur politycznych zapał tenorowy nie poprowadzi. Tymczasem wpływ takich „teorji,“ jak „teorja“ p. Duchiińskiego, jest wprost i to na długo szkodliwy.

Jak już wyżej widzieliśmy, p. Duchiiński użył swej wielkiej uczoności na złe, na skrzywienie prawdy i na zaślepianie umysłów swoich ziomków. Z drugiej atoli strony widzieliśmy także, że, znajdując się w stanie chronicznego afektu, opanowany przeważnie przez szowinizm narodowy i nienawiść plemienną, p. Duchiiński nie dał z pewnością do wodu złej woli i nie może być za swą „teorję“ potępiany.

Jubileusz narodowy p. Duchiińskiego byłby po prostu jubileuszem chronicznego obłądu patryjotycznego.

*Dorpat, listopad 1885 r.*





M256979

DK418

Gaylamou Baudouin de Courtenay, J. I. N.

.95

D8B38

blet

14 DAY USE  
RETURN TO DESK FROM WHICH BORROWED

**LOAN DEPT.**

This book is due on the last date stamped below,  
or on the date to which renewed. Renewals only:  
Tel. No. 642-3405  
Renewals may be made 4 days prior to date due.  
Renewed books are subject to immediate recall.

Due end of FALL Quarter  
subject to recall after -

NOV 23 '70 4-8

REC'D LD JAN 6 - 71 - 1 PM 7 8

LD21A-60m-8,'70  
(N8837s10)476-A-32

General Library  
University of California  
Berkeley

Gaylamou  
Pamphlet  
Binder  
Gaylord Bros.,  
Stockton, Cal  
T. M. Reg. U. S. Pat

M256979  
Baudouin de Courtenay, J.  
Z powodu jubileuszu  
profesora Duchńskiego ...

I.N. 95  
DK418  
D8B38

M256979  
DK418  
.95  
D8 B38  
THE UNIVERSITY OF CALIFORNIA LIBRARY

